

BOMBY W ZAGÓRZU. CZĘŚĆ II: ZAMACH NA GOMUŁKĘ - artykuł dr. hab. Adama Dziuby

Śledztwo katowickiej Służby Bezpieczeństwa w sprawie nieudanego zamachu na Nikitę Chruszczowa przez dwa lata nie przynosiło żadnych rezultatów. W lipcu 1959 roku przy drodze, którą godzinę później miał przejechać goszczący w Polsce przywódca ZSRR, eksplodowała bomba.

Niewykluczone, że sprawcy nigdy by nie wykryto, gdyby nie kolejna próba zamachu, do której doszło 3 grudnia 1961 roku. Tym razem celem był Władysław Gomułka, I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.



Od listopada 1961 roku Zagórze gorączkowo przygotowywało się do rozruchu kopalni „Porąbka”. Termin oficjalnego rozpoczęcia wydobywania wyznaczono na 3 grudnia – w przeddzień górniczej Barbórki. Uroczystości uruchomienia zakładu miała uświetnić wizyta Gomułki. O przyjeździe I sekretarza KC PZPR do Zagórze z wyprzedzeniem informowała miejscowa prasa, zagórzanie zaś już od początku jesieni mogli obserwować przygotowania czynione przez lokalne władze: naprawę oświetlenia ulicznego, malowanie płotów i posesji, przyspieszone prace wykończeniowe w kopalni. Domyślano się, którzy przyjadą goście, ponieważ od dłuższego czasu remontowano nawierzchnię ulicy Krakowskiej, a 2 grudnia drogę udekorowano. Harmonogram wizyty umieszczono na zaproszeniach wystawionych przez kierownictwo kopalni. Plan przewidywał, że Gomułka pojawi się w zakładzie o 10.00, zwiedzi wybudowane obiekty, a po południu, podczas „części oficjalnej”, udekoruje odznaczeniami zasłużonych budowniczych i górników. Zakończenie uroczystości

zaplanowano na 14.00.

3 grudnia, kilka minut po południu, od strony kopalni wyjechała grupa samochodów, wśród których uwagę zwracały wóz transmisyjny Polskiego Radia i poruszające się za nim trzy limuzyny. Gdy kawalkada zrównała się z posesją nr 47 przy ulicy Krakowskiej, wybuchła mina ukryta we wkopanym w ziemię przydrożnym słupku. Posypały się odłamki, ale obeszło się bez ofiar śmiertelnych. Było jednak dwoje rannych: trzynastoletnia Lidia Krętuś, która przyglądała się z okna budynku przejazdowi samochodów, oraz przechodzący ulicą górnik Jan Bryl. Uszkodzony został też jeden z pojazdów. Reprezentacyjne - acz stanowiące własność prywatną - auto marki Standard straciło szyby i zostało mocno pokiereszowane odłamkami, lecz kierowcy nic się nie stało. W samochodowej kolumnie nie było Gomułki ani jego świty, ponieważ I sekretarz PZPR nadal przebywał w tym czasie w kopalni i dekorował jej budowniczych.



Kolejna porażka wykluczona

O eksplozji powiadomiono niezwłocznie płk. Franciszka Szlachcica, komendanta wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, który natychmiast przyjechał do Zagórza. Stał przed wyjątkowo trudnym zadaniem: zamachowiec musiał zostać koniecznie schwytany, i to szybko. Ponowna nieudolność katowickiej SB i milicji nie wchodziła w rachubę, bo kosztowałyby komendanta co najmniej posadę, bez względu na jego dobre kontakty z wiceministrem spraw wewnętrznych Mieczysławem Moczarem, i mogłaby być odczytywana jako faktyczna niechęć do wykrycia sprawców detonacji. To zaś, przy panującej w przywódczych kręgach PZPR podejrzliwości, mogłoby zrodzić domysły o zawiązaniu spisku z udziałem funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - tym

bardziej że w obu przypadkach celem bomb był samochód, którym podróżował Gomułka.

W tej sytuacji Szlachcic przede wszystkim polecił zapewnić I sekretarzowi KC bezpieczny wyjazd z Zagórza. Podobnie jak w 1959 roku, wprowadzono ścisłą – i skuteczną, jak się okazało – blokadę informacyjną. Komendant wydał rozkaz o powołaniu grupy operacyjnej, mającej rozwikłać sprawę wybuchu (nadano jej kryptonim „Antena”). Jej członkowie jeszcze 3 grudnia wyruszyli na miejsce zamachu. Ekipy funkcjonariuszy rozpoczęły pracę od skontaktowania się z rozbudowaną siatką informatorów, działającą w okolicach Zagórza od 1959 roku, oraz zbierania raportów i doniesień. Grupa śledcza zajęła się wstępnymi przesłuchaniami świadków eksplozji oraz zabezpieczeniem miejsca wybuchu i poszukiwaniem pozostałości miny. Rejon zamachu przeszukały też patrole Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej. Udało się odnaleźć znacznie więcej elementów niż w 1959 roku: kilkadziesiąt odłamków, kawałki ceramiki, przewody prowadzące od miny do napowietrznej linii sieci energetycznej (część kabli instalacji zapłonowej odkryto pod ziemią), fragmenty zapalnika oraz kawałki drewna, betonu i papieru, wydobyte z leja. Kilka komisji biegłych zaczęło odtwarzać na tej podstawie konstrukcję miny oraz instalacji służącej do jej odpalenia.

Z Katowic postępy śledztwa nadzorował Sztab Grupy Operacyjnej, kierowany przez Szlachcica i jego zastępców ds. bezpieczeństwa: Mariana Dziekana i Włodzimierza Kruszyńskiego. Przez kilka dni po zamachu sztab zbierał się codziennie, by podsumować dotychczasowe ustalenia i wytyczyć plany postępowania na następne dni. Do Zagórza przybyli też z Warszawy wysocy rangą funkcjonariusze MSW: płk Stanisław Filipiak, wicedyrektor Departamentu III, zajmującego się zwalczaniem opozycji politycznej, oraz płk Idzi Bryniarski, dyrektor Biura Śledczego – jak można domniemywać, obaj raczej w charakterze nadzorców niż z pomocą merytoryczną.



Sztygar, kryminalista, właściciel drutu

Ponad czterdziestu funkcjonariuszy pionów operacyjnych SB – zorganizowanych w czterech ekipach – pracowało w samym Zagórze oraz w okolicznych kopalniach „Mortimer” i „Porąbka”. Informacji pracownikom Grupy Operacyjnej dostarczało ok. 220 konfidentów. Wsparcia udzieliły też powołane *ad hoc* dwie kolejne ekipy (ogółem pięćdziesiąt osób), działające w pobliskich miejscowościach: Klimontowie i Kazimierzu. Pomagali im milicjanci ze Służby Kryminalnej i jednostek terenowych, których zadaniem było dokonanie rozpoznania wśród elementu przestępczego z Zagłębia Dąbrowskiego (wraz z uruchomieniem milicyjnej siatki konfidentów). Pracą grupy śledczej, sformowanej wśród pracowników Wydziału Śledczego katowickiej SB, kierował naczelnik tego wydziału, ppłk Karol Janoszek. Jego podwładni skoncentrowali się na przesłuchaniach świadków oraz zapoznawaniu się z ustaleniami biegłych rzeczoznawców. Zaangażowano do współdziałania także pionów techniczne SB.

Po dziesięciu dniach prowadzenia sprawy Grupa Operacyjna zdobyła osiemdziesiąt sześć informacji, głównie agenturalnych, które rokowały jakieś nadzieje na zdemaskowanie zamachowca, toteż aktywnie je „pogłębiano”. Ponadto w Zagórze i okolicy wytypowano 436 osób dysponujących wiedzą niezbędną do skonstruowania bomby i poddano je inwigilacji. Instalowano im podsłuchy, przejmowano korespondencję, otoczono je agenturą i dyskretnie obserwowano.

Niebawem rozpoczęły się zatrzymania. Do aresztu trafili m.in.: mieszkaniec Zagórze, u którego znaleziono zwój drutu podobnego do użytego w instalacji bomby zapłonowej; górnik z kopalni „Mortimer”, którego teściowa podczas wizyty funkcjonariuszy usiłowała spalić jakieś przewody; sztygar z kopalni „Mortimer”, mający odpowiednią wiedzę fachową

i zachowujący się „podejrzanie”; oraz kryminalista, który oprócz „dziwnego zachowania” zwrócił na siebie uwagę wypowiedziami, że czegoś się dowiedział o zamachowcu. Równocześnie eliminowano z kręgu podejrzanych osoby, co do których osądzenia okazały się niesłuszne. Na przykład po dokładnym sprawdzeniu zaniechano inwigilacji Stanisława Rokickiego i jego zięcia Zbigniewa Szymczyka, których ponad rok przetrzymywano w areszcie po wybuchu bomby w 1959 roku. Na właściwy trop naprowadziły jednak funkcjonariuszy SB nie doniesienia informatorów, lecz wstępne raporty eksperckie.

Pytamy o rury, szukamy nożyc



Specjaliści badający konstrukcję „samodziałowej miny odłamkowej” – jak oficjalnie nazwano bombę – dosyć szybko doszli do pierwszych ustaleń istotnych dla śledztwa. Pomocne okazało się sumienne zabezpieczenie fragmentów miny odnalezionych na miejscu detonacji. Z przewodów wysokiego napięcia ściągnięto kabel stanowiący część instalacji zapłonowej. Kończył się on charakterystycznym haczykiem domowej produkcji, wyciętym z blachy zwykłymi nożycami i zaciśniętym kombinerkami lub szczypcami. Ekspertzi zakładali, że te narzędzia będzie można jednoznacznie zidentyfikować po ich odnalezieniu. Alarmowali przy tym, że muszą zostać odszukane jak najszybciej, gdyż zamachowiec może się ich pozbyć, o ile już tego nie zrobił. Zwracali też uwagę na to, że beton użyty

do konstrukcji słupka, w którym umieszczono minę, ma nietypowe proporcje i najprawdopodobniej wymieszano go metodami chałupniczymi – jakieś ślady, choćby w resztki gruzu czy zabrudzona miednica, mogły więc pomóc zdemaskować sprawcę.

Jako że działania operacyjne oprócz mnożenia potencjalnych tropów niczego konkretnego na razie nie przynosiły, a śledztwo nie wykazywało szczególnych postępów, Sztab Grupy Operacyjnej zaczął rozważać przeprowadzenie masowych rewizji domowych wśród mieszkańców Zagórza. 18 grudnia powstał plan jednoczesnego przeszukania u siedemdziesięciu najbardziej podejrzanych osób. Zakładano, że 20 grudnia o 7 rano 260 funkcjonariuszy wkroczy do mieszkań i rozpocznie poszukiwanie zapraw cementowych, rur ceramicznych, przekaźników elektrycznych, przewodów i innych podejrzanych części, które mogły posłużyć do konstrukcji miny. Ważniejsze jednak było dyskretne odnalezienie nożyc, kleszczy czy kombinerek i pobranie ich odcisków w miękkim metalu w taki sposób, by świadkowie rewizji nie zorientowali się, co faktycznie jest głównym celem działań funkcjonariuszy. Akcję przeprowadzono



zgodnie z planem. Kierował nią ppłk Janoszek, który zdecydował o włączeniu do grupy rewidowanych jeszcze jednej, siedemdziesiątej pierwszej osoby: Stanisława Jarosa. Pobrano ok. dwustu odcisków narzędzi, które przekazano do badań laboratoryjnych. Kilka osób natychmiast aresztowano, ponieważ w ich domach znaleziono „podejrzane przedmioty”. Większość zatrzymanych dosyć szybko zwolniono, ale objęto ich ścisłą inwigilacją (łącznie z przeglądem korespondencji i zainstalowaniem podsłuchów).



W tym właśnie momencie działania operacyjne zaczęły przynosić pożądany skutek. W podsłuchanej rozmowie żona Wacława Sandeckiego, jednego z zatrzymanych po rewizji w areszcie, powiedziała swej matce, że jeśli mąż nie wróci szybko do domu, to ona wskaże zamachowca. W celi Sandeckiego umieszczono zatem konfidenta, który niebawem zawiadomił SB, że ten podejrzewa o skonstruowanie bomby Stanisława Jarosa, który choć nie miał odpowiedniego formalnego wykształcenia, to posiadał wystarczającą wiedzę z dziedziny elektrotechniki, by sporządzić i zdetonować minę. Ponadto w dzień poprzedzający zamach Jarosa widziano w okolicach ulicy Krakowskiej. Sandeckie został przesłuchany i to samo, co powiedział tajnemu współpracownikowi SB, zeznał do protokołu.

Szybko zebrano wszelkie możliwe informacje o Jarosie. Okazało się, że w przeszłości spowodował on kilka eksplozji, a ponadto – mimo braku stałego zatrudnienia – miał spore oszczędności (tłumaczył się, że kilka lat wcześniej znalazł dolary i złote ruble, które za dużą sumę odsprzedał jakiemuś Cyganowi). To jednak były tylko informacje dodatkowe. Jarosa obciążały przede wszystkim wyniki badań laboratoryjnych odcisków narzędzi sporządzonych w trakcie rewizji jego mieszkania. Rezultaty analizy świadczyły o tym, że to właśnie przy użyciu tych narzędzi sporządzono elementy systemu zdalnego odpalenia bomby. Wieczorem 28 grudnia 1961 roku Jaros został aresztowany. W czasie przeszukania przeprowadzonego w jego domu zarekwirowano narzędzia elektrotechniczne. Znaleziono też resztki zaprawy cementowej. Dowody zostały przekazane ekspertom Komendy Głównej MO do badań mechanicznych.

Dobry glina, zły glina

Jarosa osadzono w areszcie w Będzinie i wstępnie przesłuchano. Zachował zimną krew i do zamachu się nie przyznawał. Śledczy uważali, że „złamanie” go nie będzie łatwe. Sztab Grupy Operacyjnej postanowił, że w tej sytuacji podejrzany zostanie przewieziony do Centralnego Więzienia w Katowicach. Funkcjonariusze SB zdecydowali się na zastosowanie tzw. konwejera, czyli wielodniowych, długotrwałych przesłuchań. Mieli je prowadzić dwaj śledczy, przy czym jeden miał odgrywać rolę „dobrego”, drugi zaś „złego gliny”. Do celi Jarosa został też skierowany tajny współpracownik, „agent celny z odpowiednią legendą”,

uznawany przez SB za człowieka „na wysokim poziomie intelektualnym, spokojnego, posiadającego walory szybkiego zjednywania sobie osób”. Konfident prowadził z aresztowanym długie rozmowy, opowiadając mu o znanych z historii bohaterach, którzy podejmując walkę z pobudek ideowych, starali się do swych racji przekonać przesłuchujących ich policjantów.

Konwejer i namowy „agenta celnego” odniosły skutek po kilku dniach. Nocą 7 stycznia 1962 roku Jaros załamał się i wyznał swemu towarzyszowi z celi, że to on zdetonował bombę – i tę przeciwko Gomułce, i tę przeciwko Chruszczowowi – i poprosił go o radę, czy ma się do tego przyznać. Tajny współpracownik przekonał go, by zeznał wszystko, bo to tylko polepszy jego sytuację procesową, a nad ranem poinformował funkcjonariuszy o wyznaniu „współwięźnia”. Podczas kolejnego przesłuchania Jaros oznajmił, że chce złożyć zeznania, i opisał śledczym okoliczności zamachów z 1959 i 1961 roku oraz sporządził schematy wykonanych przez siebie bomb. Funkcjonariusze założyli wówczas, że to również on dokonał niewyjaśnionych aktów sabotażu przeprowadzonych w latach 1952–1953 w kilku zakładach przemysłowych w Zagłębiu Dąbrowskim, i zaczęli go przesłuchiwać także pod tym kątem. Jaros potwierdził te domniemania, wyjawiał, gdzie ukrywał wykorzystywany w ładunkach materiał wybuchowy, a nawet wskazał dwóch kolegów, którzy mu wówczas pomogli. Okazali się nimi Józef Lotko (kolega Jarosa z dawnych lat) i Wacław Sandecki. Obaj zostali aresztowani i potwierdzili zeznania zamachowca.



Po tym wszystkim Jaros przyznał się „agentowi celnemu”, że w trakcie jednego z kolejnych przesłuchań postara się zaatakować przesłuchującego go funkcjonariusza i spróbuje uciec,

w najgorszym zaś wypadku popełni samobójstwo. Trafił wówczas do celi ze specjalnymi zabezpieczeniami, zaostrozono wobec niego więzienny rygor, a przesłuchiwany był zawsze przez dwóch śledczych.

„Czułem uraz do MO”

Proces sądowy Jarosa i dwóch jego towarzyszy rozpoczął się 9 maja 1962 roku przed trzyosobowym składem Sądu Wojewódzkiego w Katowicach. Zamachowiec, przedstawiając pobudki swego działania, wyjaśnił, że w 1948 roku został aresztowany i skazany za działalność w antykomunistycznej organizacji konspiracyjnej. Od tej pory, jak stwierdził, „czuł szczególny uraz do organów MO za niehumanitarne postępowanie w stosunku do niego”. To – w połączeniu z chęcią „szkodzenia państwu” – skłoniło go do przeprowadzenia serii akcji sabotażowych w latach 1952–1953; swych kolegów nakłonił zaś do pomocy, przekonując ich, że po kilku „operacjach” uciekną do zachodniej Europy, gdzie jako kombatanci walki z komunizmem zostaną dobrze potraktowani. Serię sabotaży przerwał powołanie go do służby wojskowej.

Powiedział następnie, że podczas zamachów w 1959 i 1961 roku nie zamierzał nikogo pozbawić życia, chodziło mu bowiem, jak odnotowano w aktach procesowych, „o pewną demonstrację, [...] o rozgłos za granicą, aby wykazać, że istnieje w Polsce podziemie, siła dążąca do zmiany ustroju”. Sąd tylko częściowo uwierzył w to wyjaśnienie, przyjął bowiem, że zamach na Gomułkę przedsięwzięty został niewątpliwie w celu pozbawienia go życia. Proces zakończył się 25 maja 1962 roku. Po wysłuchaniu ostatniego słowa oskarżonych sąd wydał wyrok: Jaros został skazany na karę śmierci, Sandecki i Lotko – odpowiednio na sześć i pięć lat pozbawienia wolności. Sąd Najwyższy odrzucił wniosek Jarosa o rewizję wyroku, a Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. W styczniu 1963 roku zamachowiec z Zagórza został powieszony.

dr hab. Adam Dziuba – pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Katowicach

Tekst pochodzi z numeru [2/2013](#) miesięcznika "Pamięć.pl".